BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.
№ 50.

STELLA

Tarłówna



Adama Krechowieckiego

z przedmową

Teodora Jeske-Choińskiego.

Cena 40 ko[p]

W prenumeracie 30¹/₂

WARSZAWA.
Redakcya i Administracya:
47. Nowy-Świat 47.
1898.

Adam Krechowiecki.

STELLA.

TARŁÓWNA.

Z przedmową

Teodora Jeske-Choińskiego.

WARSZAWA.
DRUKARNIA
Granowskiego i Sikorskiego.
47. Nowy-Świat 47.

TARŁÓWNA.

Na zamku Tarłów w Czaplach czyniono wielkie przygotowania, córka bowiem Jana Tarły, chorążego lwowskiego, słynna z nadzwyczajnej urody, którą wszystkich czarowała, miała poślubić hospodara wołoskiego, Bogdana.

Podówczas, a było to w jesieni roku P. 1571, nie żył już rodzic Jadwigi, chorąży lwowski, lecz przydani sierocie przez króla Zygmunta Augusta opiekunowie, poważne senatory, Jerzy Jazłowiecki, wojewoda ruski, i Mikołaj Mielecki, podolski wojewoda, chętnie się na ten związek zgodzili, a nawet przychylili ku niemu matkę-wdowę, Reginę, która zrazu podejrzliwem okiem na Bogdana patrzyła i w kłopoty wołoskie, jak mówiła, nie chciała się wdawać.

Ale ją przekonano.

Sprawa to była niełatwa, ileże Jmćpani Regina charakter miała twardy i do porywczości skłonny. Cała zapalczywość rodu Malczyckich, którzy jednej dzielnicy z Boratyńskimi byli, a których Jmćpani Re-

gina ostatnią już pozostała latoroślą, skupiła się w niej i często pokonać się nie dawała.

Gdy się zaklęła, Boże uchowaj: — Jakem ostatnia z Malczyckich!... — to można było łacniej mury czapelskiego zamku obalić, niż ową wolę.

W tym jednak wypadku, czy to głos statecznych senatorów opiekunów, czy może miłość dla córki, która dla swej urody i przymiotów zdawała się być godną nawet królewskiego berła, przeważyły szalę na korzyść hospodara.

Zgodziła się; chociaż w głębi duszy nie mogła potłumić obawy i niechęci do „Wołocha“ — jak go z pogardą zwała. A że była to niewiasta hartu wielkiego, więc zabywszy trosk swoich, a upatrując w związku takowym przeznaczenie boskie, jęła przygotowania czynić do zaślubin, które z uroczystością niezwykłą odbyć się miały na zamku w Czaplach.

Już tedy przybyli Jazłowiecki i Mielecki, wojewodowie; przybył kasztelan kamieniecki Hieronim Sieniawski, pan na Brzeżanach, przybyło Tarlów, Herburtów, Daniłowiczów wielu — panowie możni z pocztami świetnemi — a także uboższa okoliczna szlachta, dla uczczenia tak wielkiego obrzędu.

Gdy kto rankiem przechodził opodal, a spojrzał ku zamkowi, który na wzgórzu, w czworobok zbudowany, wysokiemi basztami swemi i murami stał na straży całej okolicy, to mniemać mógł, iż jakaś wy-

prawa gotuje się wojenna, tyle tam było zgromadzonego rycerstwa i pacholików zbrojnych.

Zamek był obronny i wielki, więc się to wszystko tam pomieścić mogło; o nakarmienie zaś owego tłumu sama Jmćpani Regina staranie miała, krzątając się od rana, a rozkazy roztropne wydając, iżby nikomu na niczem nie zbywało.

Ostateczny termin się zbliżał. Otworzono tedy najprzedniejsze komnaty zamkowe, kędy miała się odbyć biesiada weselna.

Komnaty olbrzymie a ponure. W największej z nich czarne mury od góry do dołu zawieszone były zbrojami z różnych czasów—chlubne pamiątki rodowe: miecze, buzdygany, pancerze a tarcze, wszystko zaś bardzo kunsztownej roboty i mające tradycyę swoją, przekazywaną z pokolenia na pokolenie, która pamięcią sławnych przodków utrzymywała ducha rycerskiego w potomstwie.

A wśród tych zbroic zwracał uwagę habit zakonny franciszkański, zdarty, połatany—pamiątka po owym Janie Tarle, który, jakkolwiek wielkiemi łaskami króla Kazimierza Jagiellończyka zaszczycony, mógł po najwyższe dostojeństwa sięgnąć, przeniósł wszelako życie zakonne i na peregrynacyę do Ziemi Świętej się udał, kędy też świętobliwego żywota dokonał.

A tak na murach zamczyska, zbroicami owemi i tym habitem mniszym wypisaną była cała trady

cya rodu, przekazywana potomności: rycerskie męztwo i pokorna pobożność...

W sali tej ustawiono w pośrodku stół ogromny na stopniach, przeznaczony dla nowożeńców i najznakomitszych panów. Dalej rozmieszczono inne stoły, a wszystkie pięknie ozdobione szczerozłotą i srebrną zastawą. Wzdłuż nich ciągnęły się ławy bogatemi kobiercami pokryte, a przy głównym stole dla nowożeńców przygotowano dwa krzesła olbrzymie, pięknemi rzeźbami ozdobione z wysokiem oparciem, u którego szczytu widniały godła herbowe: Korczak Malczyckich i Topór Tarłów, a także dodano teraz u góry godło hospodarstwa: głowę żubrzą, z cyrkułem złotym w nozdrzach i gwiazdą nad łbem rogatym, a sierpem księżyca i tarczą słoneczną po bokach...

Z salą tą łączyla się niewielka komnata, której podwoje osłonięte były wspaniałą makatą. Wnętrze zaś jej miało zgoła odmienny charakter Same tu były jedwabie, aksamity i kobierce najdrogocenniejsze, a także zwierciadła z tafli wydymanych w bogatych ramach, z Wenecyi sprowadzane.

Mówiono, jako komnatę ową urządził był przed laty jeden z Tarlów, który po cudzoziemskich krajach długo wędrując, wyniósł ztamtąd większe obyczaje i—nieszczęśliwą miłość. Komnata bowiem owa urządzona była dla bardzo przezeń umiłowanej nie-

wiasty, która wrychle jednak umarła... A komnata, jako pamiątka nietrwałego szczęścia, pozostała nienaruszona i nieotwierana, aż do dnia tego, w którym, z powodu zaślubin Jadwigi, przeznaczono ją na pomieszczenie darów bogatych, składanych pannie młodej, przedewszystkiem zaś podarunków królewskich, które opiekunowie w imieniu Zygmunta Augusta złożyć jej mieli, oddając ją małżonkowi.

A dary to były iście monarsze. Na dni kilka przed oznaczonym terminem zaślubin złożono je w owej komnacie, oświetlonej rzęsiście, aby wszyscy przypatrzeć się im mogli. Chadzano tedy tam tłumnie i podziwiano, nie mogąc oczu od tych wspaniałości oderwać.

Między innemi była tam wielka szkatuła szczerozłota i druga cała z bursztynu, a na niej ryte dryady i morskie boginie; dalej, zegar wielki, pozłocisty, wyrażający zodyak i bieg planet niebieskich, a w nim ułożone cymbały, wydawały najprzyjemniejsze dźwięki. Prócz tego było tam mnóstwo klejnotów, które blask oślepiający rzucały, były i futra drogocenne i materye różne najrzadsze.

Przysposabiano też na czas wesela, które dni kilka trwać miało, rozliczne zabawy, jako to: gonitwy rycerskie i inne igrzyska, a także maszkary, które w pochodzie pierwszego wieczora, wśrod ognisk i różnych cudów kunsztu puszkarskiego, miały się

ukazać. Dziwowano się zwłaszcza jednemu wozowi, który miał być ciągniony w sześć koni z przyprawionemi skrzydły. Na nim miał zasiąść Herburt, bardzo wdzięczny młodzian, przebrany jako Kupido z kędzierzawą głową, zawiązanemi oczami i sajdakiem na ramieniu, a podle niego małe chłopięta śpiewające. Było też wiele innych maszkar przygotowanych, bardzo ucieszych, jako owa Wenus na dwu wielorybach, trzymająca Parysa łańcuchami związanego. Za boginią miało być niesione jabłko szczerozłote, które potem do ręku panny młodej opiekunowie oddać mieli.

Po weselu zaś gotowano wielki pochód tryumfalny, który państwa młodych odprowadzić miał częścią do granicy, częścią do Samborza, a częścią aż do stolicy hospodarskiej. W orszaku tym przedewszystkiem miała wziąć udział milicya Tarłów: stu kozaków z toporami, jako godłem herbowem w szkarłatach pancerzami okrytych; dalej hajducy Jazłowieckiego i Mieleckiego w zbroi żelaznej i w płaszczach. Ci mieli poprzedzać karocę panny młodej, która była kształtu tryumfalnego wozu z szerokiemi oknami, wewnątrz srebrną, litą materyą wybita. Karocę tę otaczać miało najprzedniejsze rycerstwo, konno, w strojach wspaniałych.

A tak, gdy już wszystko przygotowane było, poczęto z coraz większą niecierpliwością oczekiwać

na Bogdana, który winien był przybyć najpierwszy, a nie przybywał nawet ostatni.

Już od dni kilku na zamkowem wzgórzu i na wzgórzach okolicznych zapalano co wieczór beczki smołą oblane, dla oświetlenia drogi, ile że wczesna rozsrożyła się zima i śniegi spadły nawalne, trudne do przebycia.

Paliły się te beczki jak stosy ofiarne i gasły co nocy nadaremno... Bogdana nie było.

Pani chorążyna, która krzątając się ustawicznie, a myśląc o wszystkiem, nie zapominała wydziwiać srodze na „Wołocha,“ a nawet kląć czasami, w przeddzień terminu z wielkiego frasunku zamilkła i już jeno niespokojnemi oczyma wodziła za córką, która bezmowna, zamyślona posępnie, albo stała przy oknie w dal patrząc, albo zamknięta w swojej komnacie, na arfie tęskne wygrywała melodye.

Panowie zaś Jazłowiecki, Mielecki i kasztelan Sieniawski, siedząc tymczasem przy kuflu miodu, który u Tarłów przedni bywał, ciągłe dyskusye wiedli o różnych publicznych i prywatnych sprawach.

Pan Mielecki chwalił sobie bardzo Wołoszczyznę i pragnął, iżby ją stanowczo od Turka wyzwolić, a z Rzeczpospolitą związać.

— Kraj — prawił — piękny, żyzny, bogaty, oddawna hołdowniczy, a oto z tego nie umiemy ko-

rzystać. Sam w ręce lezie, my zaś na Turków oglądamy się i nie bierzemy go...

Pan Jazłowiecki przychylał się do tego zdania i winę przypisywał królowi.

— Stary jest przed czasem — mówił — życie go zżarło; gdzie mu teraz o jakichkolwiek przedsięwzięciach myśleć!... Chory jest, do swego Knyszyna tęskni...

A pan Hieronim Sieniawski nie odzywał się zrazu.

Był to pan już niemłody. Przeszło sześćdziesiąt lat dźwigał na barkach, lecz barki te były dzielne, postawa rycerska. Wysokiego wzrostu, wzrokiem bystrym, iskrzącym się, patrzył z pod brwi siwych. Siły wielkiej, nieposkromionego męztwa, a w rzemiośle wojennem biegły, niemniej też mądry w radzie, ceniony był wielce pan kasztelan i na królewskim dworze. Serce miał przytem, zwłaszcza dla płci niewieściej, miękkie, iż go już niejedna białogłowa w swe sidła zaplątała.

W małżeńskim wszakże pożyciu niezbyt mu się wiodło. Trzy razy związki ślubne ponawiał, lecz i trzecią małżonkę przed dwoma laty pochował z kolei w podziemiach brzeżańskiego kościoła.

Pochował przystojnie, a pocieszył się rychło i mówiono, jako pan kasztelan o czwartem małżeństwie zamyśla.

I śmiano się.

— Już chyba — żartowano — ta czwarta za tamte się pomści i pogrzebie kasztelana...

A pan Sieniawski śmiał się także i gdy go takowe żarty dochodziły, nie bronił się wcale, jeno odpowiadał, jako zwykł był czynić, przysłowiami:

Ptakowi w klatce,
Rybie w sadzawce,
A człeku bez żony
Świat obmierziony

I nieraz przywdziawszy szaty wspaniałe, delię sobolową i kołpak z olbrzymim dyamentem, rozjeżdżał z licznym pocztem swych przyjaciół po okolicy i przypatrywał się różnym białogłowom, ale mu jakoś żadna nie przypadała do serca.

Ciągnęło go tylko do Czapel, kędy czarne oczy panny chorążanki przenikały go nawskroś. Dziwna wszakże nieśmiałość go opanowywała, ilekroć miał już wyrzec słowo. A wreszcie owe zamiary hospodara wołoskiego i wyraźnie objawiona wola królewska powstrzymały całkowicie pana kasztelana

Niechętnie jednak spoglądał na to wszystko i przysłuchując się dyskursowi pana Jazłowieckiego z panem Mieleckim o sprawach wołoskich, targał od czasu do czasu siwego wąsa z gniewem.

A gdy wreszcie pan Mielecki zaczął hospodara

Bogdana pod niebiosa wynosić: jako królowł przyrzekł 24,000 żołnierza stawić w pomoc i jako z Polakami ściśle się brata, pan Sieniawski wielką swą postać aż z ławy dźwignął i w stół pięścią uderzył.

— Co też waszmość prawisz! — krzyknął — Wiele obiecować, a mało iścić, to sprawa wołoska...

Na to weszła do komnaty pani Regina i usłyszawszy ostatnie słowa, przyklasnęła im z radością. W chude dłonie bijąc, zawołała:

— Jakem ostatnia z Malczyckich, prawda!...

Pan kasztelan powstał na to całkiem z ławy i z nizkim pokłonem, posuwiście, zbliżył się do pani chorążyny, a z widocznem ukontentowaniem w ręce ją całował.

Tymczasem panowie Jazłowiecki i Mielecki spoglądali na siebie, mrużąc oczyma na znak porozumienia.

Pan Mielecki, średniego wzrostu, ale dziarski mąż, w wielu wyprawach wojennych już wypróbowany i sławą okryty a bardzo poważny, uśmiechał się rzadko; więc tylko usta wydął i jedno oko zmrużył, jako zwykł był czynić, gdy mu się śmiać chciało. Pan Jazłowiecki zaś, równie stateczny senator i człek rycerski, Tatarom a Turkom straszny, lecz pomimo podeszłego wieku jowialnego humoru, tłumiąc śmiech głośny, twarz chudą i pomarszczoną

kurczył bardzo zabawnie i prostował sztywnie wysoką a kościstą swą postać.

— Byłem ja — rzekł zcicha do pana Mieleckiego — w tureckiej niewoli, ale w takiem białogłowskiem jarzmie, jako pan Hieronim, chadzaćbym nie chciał... Może on teraz o wdowie myśli, mówiąc sobie: „lepsza baba w zamku, niż rycerz pod zamkiem!“

A na to pan Mielecki i drugie oko przymknął, usta zaś tak wydął, iż mu końce wąsów długich a siwych ku skroniom sięgały.

Pani Tarłowa bowiem nie była wcale nadobną. Jak tam w młodości było—nie wiedzieć. Lecz na starość wyschła jak szczapa — skóra a kości. Na twatrzy, jako na przemarzłej kartofli, pełnej załomów a zmarszczków, paliły się jeno oczy czarne, wielkie, wgłąb zapadnięte, które rzadko wyrażały łagodne uczucia. Miała także Jmćpani Regina ten zwyczaj niezbyt powabny, iż mówiła dużo a szybko, nie słuchając zgoła i o to się nie troszcząc, co do niej mówiono. Gdy zaś poruszoną była, to palce długie, kościste, wyciągała przed siebie, jakby temu, kto jej się sprzeciwił, oczy wydrapać chciała. W gruncie jednak miała serce jak wosk miękkie, rozum przytem niepośledni, chociaż nieuczony — ot, tak z natury — i dobroczynna była pani, którą wszyscy szanowali.

Pan Sieniawski, nie zważając też wcale na docinki towarzyszów, różne ozdobne słówka pani chorążynie prawił, które ona ochotnem przyjmowała sercem, a żalić się znów zaczęła na obmierzłego Wołocha.

— Co począć?—prawiła żywo—Król Jegomość, sierot obrońca, rozkazał; wyznaczeni opiekunowie...

Tu przerwała i wzrokiem iskrzącym spojrzała na Jazłowieckiego i Mieleckiego.

— Wyznaczeni opiekunowie—powtórzyła z naciskiem, wyciągając ku nim kościste, zakrzywione pałce — wymogłi, biedna wdowa uledz musi.. Zezwoliłam, uległam... i ot co! Wołocha jak niema, tak niema... a biedna moja dziewka usycha z niepokoju...

Pan Sieniawski uczynił boleściwą minę i sięgnął ręką do wąsa.

— Już to—rzekł—z tym hospodarem krucha sprawa Jak to mówią: co się łyse urodzi, łyse zginie. W tych Wołoszech życie niepewne. Powiadają, jako tam połowa bojarów z wyłupionemi oczyma z łaski hospodarskiej chadza. A dawno to temu, jak nasz Dymitr Wiśniowiecki na haku dwa dni wisiał, zanim ducha wyzionął... Niedarmo urosło przysłowie: *Valachia tumulus Polonorum...* Sam pan Jerzy Jazłowiecki mógłby dać świadectwo, jak jest z hospodarami. Jako było z owym Heraklidem Despotą,

który sam siebie księciem jakowejś wyspy Samos mianował i genealogię książęcą sobie dorobił, a potem był okrutnie zabit przez Tomżę, który znów hospodarował, aż go p. Jazłowiecki schwytał i w ręce sprawiedliwości oddał. A sprawiedliwość obeszła się z nim tak, iż ów pan Tomża, z własnej łaski hospodar, głowę dał pod miecz katowski na rynku we Lwowie...

Zniecierpliwił się tą mową pan Mielecki i przerwał:

— Było tak i było inaczej... Naród trochę dziki i do buntu skory, niema co rzec, ale kraj piękny, warto go mieć; Bogdan zaś nie zawiedzie... pewny jest... z nami się zrósł i wierny będzie królowi Jegomości. Nam zaś właśnie o to chodzi, iżby na Wołoszczyźnie pokój ustalić...

Tu pan Mielecki powstał i zbliżył się do chorążyny, która snadź z niepokoju o los ukochanej córki, wbrew zwyczajowi swemu, milczała i nie przerywając, słuchała co mówiono.

— Oby jeno—dodał pan wojewoda podolski— szczęśliwie owe zaślubiny odbyć i oby z zacnej krwi Tarłów dynastya na stolicy hospodarskiej zasiadła, a my wszyscy bronić jej będziemy do ostatniego tchu... Bogdana ja nie opuszczę...

Prawicę na rękojeści miecza położył i mówił silnie, ze wzruszeniem.

Pani Regina oprzeć się także rozrzewnieniu nie mogła. W ciągłej obawie o los córki, którą nad życie miłowała, serce jej miękło, zwykła zapalczywość stygła.

— Czyńcie, waszmościowie, jak rozumiecie — rzekła stłumionym głosem — wyście mądrzejsi odemnie... Ja na książkach nie czytam i liter małować nie umiem, jeno sercem matczynem boleję i stracham się...

Zatrzymała się moment, poruszyła żywo ramionami, jakby to wzruszenie z siebie strącić chciała, i mówiła dalej już ze zwykłym impetem:

— Choćby i królewskiego berła moja Jadwiga godna. Albo to nie piękna, albo nie uczona?... Ale gdyby w tych Wołoszech zmarnieć miała, to wolałabym, iżby poślubiła tego mizeraka, który od roku już wzdycha i schnie z umiłowania wielkiego, a rymy składa coraz cudniejsze...

Pan Jazłowiecki zaśmiał się głośno.

— Cóż to za mizerak? — zagadnął, zbliżając się — co rymy składa?... Przecie nie nasz pan Jan z Czarnolasu, bo on cale nie mizerak!

Pani Regina ramionami zżymnęła.

— Sęp Kochanowskiego w kąt zapędzi! Ja nieuczona, ale jak on, ten sęp, zacznie rymowaną mową gadać, to chyba mi jest milej, gdy moja Jaga w struny trąca.

Pan Sieniawski nie podzielał tego zachwytu, przeczuwając współzawodnika.

— Co tam rymy! — rzekł z lekceważeniem. — Lepiejby pan Sęp Szarzyński uczynił, gdyby z rodzicem swym, panem podstolim lwowskim, nie wadził się, a roli i spraw swych pilnował, wysoko zaś oczu nie zawracał...

Na to Jmćpani Regina z wielkim impetem ku panu Sieniawskiemu, niedawnemu sprzymierzeńcowi swemu, rzuciła się:

— Nie gadałbyś waść! — krzyknęła — bo jakem ostatnia z Malczyckich, na Sępa nie dam nic rzec... Stary podstoli — bogdajby był skaran! znęca się nad mizerakiem, że gdyby nie te Czaple, gdzie biedak przytulić się może, i gdyby nie pan podkomorzy lwowski, Starzechowski, który go protekcyą osłania, to zmarniałoby niebożątko...

Pani Regina mówiła z impetem, a miała łzy w głosie, tak ją nieszczęsna dola poety Sępa dojmowała.

A pan Mielecki wtrącił się tu i rzekł:

— Znam tego Sępa Szarzyńskiego. Jeździł on z panem Starzechowskim do italskiej ziemi i w Lipsku różnych rozumów się uczył, a słyszałem, jako iście piękne wiersze składa... A gdzież on teraz jest?...

Pani Regina rękami rzuciła·

— Gdzie jest? albo ja wiem... Był tu w Cza-

plach, będzie niedziel kilka. Już wtedy niepokój mnie ogarniał wielki, a i Jadwiga oczy wypatrywała za owym Bogdanem. On zaś widząc to, że serce ma tkliwe, tedy zerwał się dnia jednego i pojechał na zwiady... Miał najprzód być u pana Kaspra Paniewskiego, szwagra owego Wołocha, i z nim razem tu przybyć, aleć go niema...

* * *

W tym momencie, jakby na dane hasło, rozjaśniły się jaskrawo okna zamczyska. Zapalono beczki smolne, które słupem płomienistym strzeliły w górę. Smugi czarnego dymu poszły pod obłoki, a potem zwolna spadały ku ziemi i rozścielały się jak wstęgi, zczerwienione od błysków ognia. A w tych błyskach widać było grube płatki śniegu, jak piętna białe, wśród czarnej nocy, spadające coraz gęściej, z chmur przewalających się ciężko po niebie.

Równocześnie z owemi blaskami ozwał się huk moździerzowych wystrzałów.

Jeden strzał, a potem drugi i trzeci i dziesiąty zmącił nocną ciszę... Wybuchał, łączył się z następnym, rozchodził się echem po wzgórzach, drżał, omdlewał, niknął, i znów wzmocniony rozlegał się w powietrzu...

— Bogdan przybywa! — krzyknięto i rzucono się ku oknom.

Wszyscy tam stanęli: i Jazłowiecki i Mielecki

i pani Regina i sam nawet Sieniawski, nieco zwłócząc, zbliżył się.

Nikt też nie uważał, że w tym momencie podwoje się otwarły i do sali cicho weszła Jadwiga.

W ciemnej, powłóczystej sukni, ściśniętej w pasie taśmą złotą, bez żadnych ozdób innych, wyglądała jak posąg. Twarz miała białą i bladą, którą okalały włosy czarne jak heban, puszczone wolno, jeno przepaską szeroką, perłami wysadzaną, niby koroną uwięzione ponad czołem gładkiem, marmurowem, pod którem paliły się oczy wielkie, czarne, głębokie jak przepaście. Gdy spojrzały na kogo i zatrzymały się na nim, to zdawały się go wyzywać, a pociągały nieprzemożoną siłą. W oczach tych były zapytania i nieświadomość, paliły się w nich płomienie i migotały błędne ogniki obietnic.

Z rozchylonemi nieco usty, jakby w oczekiwaniu, niepokoju, czy też pragnieniu, ukazując rząd zębów jak śnieg białych, zbliża się ku środkowemu oknu, tak cicho, aby nie być widzianą, a widzieć...

Była widocznie mocno poruszoną. Pod suknią, rysującą wybornie wspaniałe jej kształty, znać było pierś falującą przyśpieszonym oddechem.

W głębokiej framudze okna zniknęła i przytulając czoło do szyby, wpatrzyła się wytężonym wzrokiem w dal...

Wśród czarnej nocy paliły się pełnym płomie-

niem beczki smolne na wzgórzach zamkowych i dalszych pagórkach. Chwilami snopy iskier rozpryskiwały się w powietrzu i spadały z góry, zwolna, tonąc w smugach dymu, gnanego wichrem i ścielącego się brudnym pyłem na białym śniegu... W oddali, u podnóża zamku, drogą, która kręto wila się w górę, zdążał powoli liczny poczet rycerski. W chwilowych blaskach jaśniały od czasu do czasu zbroje i nikły w tumanach dymu; tylko wśród ciszy dolatywał coraz wyraźniej tętent koni i szczęk oręża.

— Bogdan przybywa! — powtórzył ktoś znów.

A serce Jadwigi biło coraz śpieszniej...

Przybywa ten, który z objęć macierzy, często surowej, lecz kochającej nad wyraz, z tego ogniska domowego, które czasem wydawało się ponure, lecz było własne, tak bardzo własne, że oko dorosłej dziewicy odnajdywało wśród czarnych murów zamczyska, w jego przyćmionych komnatach, wszystkie najmilsze wspomnienia dzieciństwa, wszystkie pierwsze wrażenia; przybywa ten, który miał ją ztąd wyrwać i jak własność swoją zabrać w kraj nieznany a daleki, zawieźć wśród ludzi obcych, o których rozpowiadano dziwa...

Jaki los tam ją czeka? jakie niebezpieczeństwa?

Odjęła Jadwiga rozpalone czoło od okna. Czoło się zmarszczyło; grzywa włosów czarnych zakołysała się na ramionach, dłonie zacisnęły.

Ona niebezpieczeństw nie lęka się... nie! W swej piersi czuje takie męztwo, że niem natchnąćby mogła Bogdana, gdyby słabnął. Owszem, panią być, rządzić, rozkazywać, to szczyt jej marzeń.. Pragnęła tego, i to hospodarstwo wołoskie daje jej, jeśli nie rzeczywistość zupełną, to przynajmniej wszelkie pozory panowania...

Los padł—nie czas się wahać

Ozwały się znów moździerzowe wystrzały... Poczet coraz bliższy—widać już w świetle palących się ogni szyszaki, hełmy, dzidy, postacie rycerzy..

Za chwilę przybędzie Bogdan i jutro spełni się wszystko...

Myśl lotna obejmuje szerokie obrazy i w sercu Jadwigi złączyły się one wszystkie: wspomnienia dziecińetwa, ukochane postacie, z któremi niebawem żegnać się przyjdzie, wszystko, co serce ukochało i do czego nawykło.

A ten wysiłek co jej przyniesie? czy szczęście?

Iskrzące się oko Jadwigi zamgliło się nagle...

Och, szczęście! Byłoby tu, wśród swoich, przy macierzy surowej, ale dobrej, umiejącej wyrozumieć i odgadującej myśli dziecka, wśród tych pól i wzgórz tak dobrze znanych, a tak zawsze pięknych... Och, szczęście tak blizko, a tak nieuchwytne!...

Raz, przed rokiem — w lecie to było — stała swobodna, wesola, opodal zamku, nad Strwiążem,

który tam krętą wstęgą płynie. Promienie słońca rozpryskiwały się brylantowemi odblaskami w czystych nurtach rzeki—a ona, trzymając w ręku wielki wieniec róż polnych, obrywała listki i kwiaty i rzucała je na wodę Kwiaty i liście, porwane prądem, szły daleko, daleko—wirując.

Rozpromienionym wzrokiem śledziła Jadwiga bieg listków po wodzie i chwilami wybuchała pustym śmiechem Ku niej zaś uśmiechało się lazurowe niebo, a nad nią świegotały ptaszęta, wesoło fruwając w powietrzu

Obok niej stał młodzian — Mikołaj Sęp Szarzyński. — Patrzył na nią jak w tęczę z zachwytem. Czasem jeno odwracał od niej oczy, by spojrzeć wokoło, na wzgórza zielone, opromienione słońcem, na łąki, od których szła woń upajająca, na pola, na których kołysały się zwolna pełne kłosy zboża. Otwierał usta i pełną piersią pił woń rozkoszną, otwierał szeroko oczy, by wszystkie blaski słoneczne schwytać, otwierał duszę całą, by w nią wchłonąć tę piękność i rozkosz, która go otaczała.

I nagle opuścił głowę na piersi, a z ust wybiegły mu słowa tęskne:

„O moc, o rozkosz, o skarby pilności,
„Choćby nie darmo były! przedsię szkodzą;
„Bo naszą chciwość od swej szczęśliwości
„Własnej (co Bogiem zowiemy) odwodzą.

„Niestałe dobra, a stokroć szczęśliwy,
„Który tych cieniów wczas zna kształt prawdziwy.“

Jadwiga spochmurniała nagle.

Największy kwiat, rzucony na wodę, zamiast z prądem płynąć, zatrzymał się na wystającym kamieniu i targany falą, nie mogąc przedostać się przez zaporę, rozbijał się o nią, tracąc listki.

— To waćpan winien!—zawołała żywo Jadwiga.—Smutnemi wierszami swemi rzuciłeś urok... Zamyśliłam, że mi tak życie pójdzie, jak daleko i równo ta róża popłynie... I patrz waćpan, na kamieniu zastrzęgła!

Gniewała się, a łzy miała w oczach.

Poeta szybko zbliżył się ku niej...

— Panno chorążanko—rzekł niemal błagalnie—nie wińcie mnie, ani moich biednych rymów. One chyba nikomu, a tembardziej wam nie zaszkodzą... Jabym wam nieba przychylić pragnął...

Mówiąc to, ręce składał.

Szczupły i mizerny bardzo, Sęp miał twarz wyrazistą, oczy duże, błękitne, czasem zadumą zamglone, która snadź jego serce i myśli ogarniała. W całej postaci przejawiała się jakby niewieścia, wcale nie rycerska miękkość. Włosy długie, jasne, które mu niemal na ramiona spadały, odrzucał z czoła białą, delikatną ręką i patrząc na Jadwigę wzrokiem pełnym niezwykłej rzewności, powtórzył ci-

chym a dźwięcznym głosem, który słodyczą przenikał·

— Jabym wam nieba przychylić pragnął...

Ona, snać ujęta tą słodyczą głosu, podniosła na towarzysza swego oczy, w których już nie było gniewu, ale też nie było poprzedniej wesołości.

Spotkały się ich spojrzenia na moment jeden, ale tak, że wniknęły do głębi ich dusz i zostawiły w nich ślad promienny...

I rozdzielały się zwolna, jakby z przymusem a żalem...

Jadwiga potrząsnęła głową i zawstydzona chwilowem wzruszeniem, zaczęła mówić szybko i żywo, udając swobodę:

— Przedsię waćpan składasz i weselsze rymy... Czemu powtarzasz smutne, że aż serce boli...

Poeta podniósł oczy w górę i mówił w zamyśleniu, jakby sam do siebie;

— Umiem to jeno mówić, co czuję... I mnie serce boli... Dawniej muza moja była wesoła... o, bywała!... lecz dziś?... Dziś „z płaczem ganię młodości mej skoki...“ Dziś serce boli...

Tarłówna znów spojrzała na niego, lecz już z innym wyrazem, na poły badawczym, ciekawym, a na poły trwożnym.

Poruszyła się z miejsca i poszła zwolna ku

zamkowi, rzucając po drodze resztę pozostałych w ręku kwiatów.

Po chwili jednak zagadnęła znów poetę, który postępował za nią.

— Czemu dziś inaczej niż wczora?

Sęp nie odrzekł zrazu. A potem zwolna, głosem bardzo cichym.

— Bo wczora, jam was jeszcze nie znał, panno chorążanko...

Jadwiga drgnęła. Coś jakby iskra przeniknęła ją od stóp do głowy; rumieniec na blade lica wytrysnął i zafalowała pierś przyspieszonem tętnem.

Ale trwało to jedno tylko mgnienie. Podniósłszy głowę, rzuciła na Sępa wzrokiem, w którym było więcej dumy niż wzruszenia, który pytał bez słów.

— Jakto? ty, ty?!... śmiesz na mnie podnosić oczy?

Przyśpieszyła kroku i już nie patrząc na poetę, który przyzostał, znikła wkrótce w bramie zamkowej.

Wieczorem dnia tegoż, przy biesiadnym stole, gdy proszono Sępa, aby ku zabawie przybyłych gości rymami mówił, on bardzo blady i milczący ciągle, wstał nagle i rzekł głosem, który drżał, a miał w swem brzmieniu jakby szyderstwo, co jest bronią zranionej duszy.

„Ubogiś? Ubogim być musisz zawżdy! Czemu?
„Bogactw teraz nie dają tylko bogatemu.

„Chcesz mieć co? przynieśże co, bierz za słowa, słowa;
„Taka teraz po wielkim brzmi pałacu mowa!“...

Klaskano, chwaląc rym gładki; nikt znaczenia jego nie zrozumiał, chyba jedna Jadwiga, a może i pani chorążyna, która chociaż nie przypuszczała nigdy, iżby córka jej poślubić mogła ubogiego podstolica lwowskiego, a dla Jadwigi marzyła o najpierwszych dygnitarzach, jeśli nie o koronie—toć wszakże na nieśmiały ten afekt Sępa z pobłażaniem patrzyła, a samego poetę lubiła wielce, zwąc go z politowaniem: „mizernem stworzeniem.“

Jadwiga wszakże spać nie mogła tej nocy. Coś ją w duszy bolało nieprzemożoną tęsknotą. Wziąwszy harfę do ręki, trącała w struny długo a rzewnie; potem zaś, stanąwszy przy oknie, wpatrzyła się w dal, w noc ciemną, w gwiazdy migocące w górze brylantowem światłem.

I zdało się jej wówczas, że pod jej oknami, wśród drzew, przesuwa się jakaś wątła postać, jak cień...

Wpatrzyła się w ciemność i poznała.

To Szarzyński!

Zatrzymał się, podniósł głowę i stał ze wzrokiem utkwionym w okno, w którem może dostrzegał pochyloną, wiotką, białą postać niewieścią.

Jadwiga gwałtownym ruchem cofnęła się od okna.

I odtąd długo nie widziała poety. Wyjechawszy nazajutrz z Czapel, Sęp nie pokazał się tam miesięcy kilka, aż go przywiózł znów protektor jego szczególny, Jmćpan Starzechowski, podkomorzy lwowski. Ale Szarzyński nie był już takim, jak dawniej. Wymizerniał jeszcze bardziej, wychudł, zdawał się niknąć w oczach. Rozmowy z Jadwigą unikał, wpatrywał się w nią tylko czasem gorączkowo szklącemi się oczyma, gdy sądził, że nikt na niego nie zważa. I składanie rymów szło mu teraz niesporo. Pisał same religijne pieśni lub też epitafia żałobne.

Rozpoczęły się już były w tym czasie owe zabiegi Bogdanowe, a Sęp widząc, jako hospodar, wsparty łaską królewską i protekcyą przemożnych opiekunów, wolę tak matki, jak i córki ku sobie nakłania, coraz to bardziej niespokojnym i ponurym się stawał.

Nie, żeby już wówczas dla siebie czegokolwiek spodziewać się mógł, jeno truchlał o los ukochanej niewiasty, wiedząc, jako tam, wśród Wołochów, nietylko panowanie, lecz i życie niepewne.

Domyślał się też, iż Jadwiga nie ma do Bogdana serca, jeno ją tak żądza zaszczytów i panowania ogarnęła, że szczęścia zabywszy, siebie dla złudnej wielkości poświęcić była gotowa...

Napełniało go to nieraz oburzeniem, lecz gdy spojrzał na Jadwigę i widział na jej twarzy ślady trosk wewnętrznych, to zapomniał o wszystkiem, afekt serdeczny brał górę, a duszę poety zapływała wielka litość.

To też gdy Bogdan na oznaczony termin nie przybywał, a troska i niepokój Jadwigi coraz stawały się widoczniejszemi, nie mógł już zdzierżeć siebie i wyruszył na zwiady, coby się z hospodarem stać mogło.

Nadaremno pani chorążyna przeciwiała się temu, przekładając jako zima sroga, a taki „mizerak“ w zaspach śniegowych łacno zginąć może; nadaremno prosiła i Jadwiga. Szarzyński uparł się i pojechał.

Jadwiga była mu za to niewymownie wdzięczna. Wieczorem, w przeddzień wyjazdu poety, sama zbliżyła się do niego i spojrzała swemi czarnemi, przepaścistemi oczyma tak samo, jak w ów letni ranek nad Strwiążem.

Ale teraz wzrok jego, przymglony, niepewny, cofał się nieśmiało.

— O, dziękuję wam... dziękuję...—przemówiła.— Jam może niewarta takiej ofiary A proszę was, na wszystko zaklinam, byście o wasze zdrowie mieli staranie... Bo ja tu schnąć będę z niepokoju...

Sęp chciał rzec;

— Z niepokoju o hospodara...

Ale się strzymał, bo głos Jadwigi brzmiał szczerością, oczy patrzyły z uczuciem, a dłoń silna, lecz piękna wyciągnęła się ku niemu i pochwyciła jego zimną, kościstą rękę, rozgrzewając ją swem ciepłem.

Więc tylko podniósł na nią swe błękitne, zamglone oczy i głosem, który drżał:

— Nie lękajcie się o mnie — odparł — a zachowajcie zawżdy w przychyłnem wspomnieniu...

Nazajutrz rano wyjechał.

A teraz to wszystko stawało w pamięci Jadwigi, gdy wytężonym wzrokiem śledziła zbliżający się poczet rycerzy wśród dymu i blasków palących się ognisk.

I zapytana, nie mogłaby była odrzec stanowczo, kogo z większym w tym momencie wyglądała niepokojem, kogo rychlej zdrowym ujrzeć byłaby pragnęła: czy Bogdana, który raczej przerażał ją, niż pociągał, czy biednego owego „mizeraka“, który coraz smutniejsze rymy składał, a którego oczy błękitne umiały sięgać tak głęboko do duszy wyrazem rzewności i słodyczy

W uszach brzmiał jej ciągle głos jego słaby, stłumiony:

„I nie miłować ciężko i miłować
„Nędzna pociecha!“...

Powtórzyła mimowolnie szeptem początek jednego z rymów Sępowych

A w tym momencie ozwały się z baszty zamkowej kotły i bębny... Otwierano bramy; liczni pacholikowie wybiegli z pochodniami i szykowali się w dziedzińcu.

Z hałasem i tętentem wjeżdżał hospodar na zamek.

W zamku tymczasem otwarto naoścież podwoje wielkiej, rzęsiście oświetlonej sali, kędy gromadzili się wszyscy najprzedniejsi goście na powitanie, otaczając panią Reginę, która wzruszona bardzo, przybrać usiłowała majestatyczną postawę.

Jadwiga stanęła opodal; oparła się o framugę okna, a twarz zwróciła ku drzwiom. Była blada, ale już spokojna. Ta walka wewnętrzna, która ją przed chwilą poruszała, słabła w ostatniej chwili. Brwi silnym zarysowane łukiem, ściągnęły się, oczy pałały, na białem czole osiadł wyraz dumy.

Już teraz Bogdan był pierwszy w myśli, a z nim — hospodarstwo.

Nareszcie wszedł.

Ale nie o własnej mocy. Kasper Paniewski, Mikołaj Sęp Szarzyński i inni pod ramiona go wspierali.

A on stąpał i słaniał się...

Ogromnego wzrostu, barczysty, twarz miał ogorzałą, niemal czarną, na której panował nos orli, wielki. Małe, czarne oczka, biegające żywo, paliły

się, rzucając dziwne, zielonawe błyski. W tym momencie miały one wyraz gorączkowy, nieprzytomny, a chmurny i przenikający. Usta grube, mięsiste, pokryte wązkim a długim, spadającym wąsem, otwierały się chwilami, chwytając powietrze, lub zaciskały kurczowo, snadź pod wpływem wewnętrznego bólu. Włosy barwy kruczej, kędzierzawe, podgolone wysoko nad czołem, zoranem grubemi fałdami, były teraz w nieładzie, zburzone. Ucho lewe i część twarzy zasłaniała szeroka chusta przez głowę przewiązana. Pomiętą też była i zdartą wspaniała odzież hospodara. Żupan złotolity, ściśnięty drogocennym pasem i ozdobiony wielkiemi guzami z rzadkich kamieni, rozwarty był na piersiach i poszarpany. Na plecach dźwigał Bogdan skórę lamparcią, przepyszną.

Pani Regina, a za nią wszyscy rzucili się ku niemu w przerażeniu, widząc go takim chwiejącym się, słabym, nieprzytomnym.

— Cóż się stało? dla Boga! — wołano.

A on rzucał dokoła roziskrzonym wzrokiem, dźwigał się, wyrywał, usta otwierał i chwytał powietrze, nie wydając dźwięku ze ściśniętej krtani.

Zoczywszy zaś Jadwigę nieruchomo opodal stojącą i patrzącą na niego osłupiałemi oczyma, porwał się gwałtownie i ramiona ku niej wyciągnął:

— Pani moja...— wyszeptał.

Oczy zawarł i omdlewać się zdawał.

Usadzono go na krześle i trzeźwić poczęto. On zaś chwilami oczy roztwierał, szukał niemi Jadwigi, próbował się dźwignąć i znów ogarniała go niemoc

Raz wykrztusił tylko:

— Łotr Krzysztof Zborowski! łotr!

A potem znów:

— Pić!

Podano mu kielich mocnego wina, które wypił chciwie, i uspokajać się zdawał w chwilowej martwocie.

Wszyscy stali nad nim oniemiali z przestrachu. Każdy czuł, że stało się coś nadzwyczajnego, jakiś wypadek tragiczny, który przygotowywane z monarszą wspaniałością gody mógł zamienić w pogrzebową stypę.

W sali oświetlonej wspaniale, wśród nagromadzonych skarbów, w otoczeniu pierwszych dygnitarzy, wobec jaśniejącej urodą narzeczonej—ten, który miał jej z sobą przynieść berło władzy i znaczenie monarsze, sam niemocny, z głową opuszczoną na piersi, leżał jak gdyby w śnie przedśmiertnym...

Każdy chciał pytać a lękał się—ci zaś, którzy wiedzieli, nie spieszyli się z opowieścią...

Pierwsza pani Regina oprzytomniała i zbliżywszy się do Jmćpana Kaspra Paniewskiego, który z Bogdanem przybył, pytać go zaczęła głosem stłumionym, pocichu.

Paniewski, człek już sędziwy, lecz bardzo pięknej postawy, a ceniony wielce dla niezwykłej prawości charakteru, iż fałszywego słowa nigdy nie wyrzekł, opowiadać zaczął spiesznie, a także cicho, iżby hospodar leżący jak w omdleniu, dosłyszeć nie mógł.

— Nie jest mi obcy ten Bogdan — mówił. — Wszak mężem jestem siostry jego, Maryny. Znam, jako prawy jest... ale z tem hospodarstwem nie wiem co będzie... Więc zastanowić się trzeba, co czynić...

Pani Regina niecierpliwie przerwała:

— Lecz cóż mu się stało? powiadajcie! Chłop jak dąb, a słania się jak trzcina... Ranny, albo pijany...

— Nie pijany on jest — odparł pan Kasper — jeno ranny i to ciężko... Jmćpan Krzysztof Zborowski, chcąc wziąć pomstę na nim, iż mu siostry swej młodszej Trofany w małżeństwo dać się wzbraniał, napadł na niego w drodze, gdy jechał już do Czapel, ranił i jeńcem wziął... Dopierośmy go ja i przez was uprzejmie przysłany Jmćpan Sęp Szarzyński, z niewoli tej, gorzej niż tatarskiej, wykupili... W ciemnicy siedział bez żadnego opatrunku, a potem, gdyśmy go wyzwolili, zamiast leczyć się, uparł się jechać — zimno go przejęło, rany się zaogniły, krew ściekła i omdlał...

A pan Sieniawski, który zbliżywszy się, pilnie

owej opowieści słuchał, nie objawiał wszakże żadnego wzruszenia, jeno półgłosem rzekł:

„Wszak już nie dziś ta nowina słynie,
„Iż złego złe nigdy nie ominie"...

Pan Kasper ostro na pana kasztelana spojrzał, lecz nie wdając się w spór, prawił dalej:

— Obowiązkiem moim—rzekł z powagą—przestrzedz was, pani chorążyno, abyście nic lekkomyślnie nie poczynali... albowiem rana ta, którą Jmćpan Zborowski Bogdanowi zadał, jest złem najmniejszem...

A na to Jadwiga, która opodal stała, zbliżyła się szybko i roziskrzonem spojrzeniem mierząc pana Kaspra:

— Ranny jest — przerwała z mocą — i niebezpieczeństwy otoczony, przedsię go nie opuszczę!.. Los padł, dolę moją przeniosę, bom taką wybrała!..

Pan Paniewski z uwielbieniem spojrzał na mężną niewiastę, lecz odparł:

— Nie do was odwołuję się, panno chorążanko, jeno do macierzy waszej i zacnych opiekunów, któ rzy na to są, by wam wskazali drogę, jaką iść macie. Piękne jest poświęcenie, wszelako rozumnem być winno i mieć cel przed sobą, inaczej szalonem będzie i szkodliwem... W krótkich słowach powiem, co się dzieje... Gdy Zborowski rannego Bogdana uwięził, doszło już było do mej wiadomości, jako

Wołosza swoim zwyczajem intrygi różne przeciw Bogdanowi knowa i do sułtana Selima wyprawiła posłów z prośbą o innego gospodara. Selim zaś nie kontent, jako Bogdan znaczne posiłki królowi Jegomości przyrzekł i jako związki rodzinne ma z Polakami, lękając się snadź, iżby za panowania jego Wołoszczyzna całkowicie z naszą Rzecząpospolitą nie zlała się, chętnie widział to poselstwo i wnet kandydata na hospodarstwo znalazł, owego Iwonię, który tu na Rusi długi czas przebywał i już po wygnaniu ojca Bogdanowego, Aleksandra, hospodarem chciał być...

Pan Sieniawski na głos się rozśmiał.

— Iwonia! — zawołał — znam go! Pacholikiem był u Firleja... może też być i hospodarem wołoskim. Ja zawżdy mojemu pacholikowi mówię, który niechętnie i opieszale służbę pełni, iżby o to hospodarstwo zabiegi czynił...

Pan Mielecki zaś żachnął się gniewnie na te złośliwe słowa i przerwał:

— To bez potrzeby gadanie!... Bogdana opuścić nie można. Król Jegomość mu przyrzekł...

— Otóż ja słyszałem—wtrącił pan Paniewski—a słyszałem napewno, jako król zawahał się... Selim za radą Dywanu znaczne wojska Iwoni temu daje, król zaś przeciwiać się nie będzie, nie chcąc wojny

wywoływać... Iwonia zresztą, człek niepewny, lecz wspaniały, jak mówią, przyrzeczenia różne czyni...

— Mój pacholik—ozwał się znów pan Sieniawski — gotów stokroć więcej obiecać... A co to mu wadzi?...

Mówiąc to zaś patrzyl ustawicznie na Jadwigę, która stała bez ruchu, szeroko rozwartemi oczyma spoglądając to na omdlałego Bogdana, to na mówiących.

A pani chorążyna ręce łamała, wzrokiem i słowy pytając opiekunów:

— Co czynić? radźcie!

Wystąpił tedy pan Jazłowiecki Jerzy i jął bardzo mądrze dowodzić, jako teraz nic stanowczego postanawiać nie wypadało; Bogdan ranny i niemocny, hospodarstwo zagrożone... Zaślubiny tedy należy odłożyć...

Obudziła się na te słowa z zamyślenia Jadwiga i znów płomieniste oczy wnosząc do góry, zawołała.

— Nie, nigdy!... Przyrzekłam, niech się stanie!...

Ale pan Mielecki nie dopuścił jej mówić dalej, a popierając słowa pana Jazłowieckiego, tak rzekł:

— Niech się wprzódy Bogdan z ran uleczy... Choćby Iwonia na Wołoszczyźnie był...

— Już pono tam jest — przerwał Paniewski — już mu zdradziecka Wołosza przysięga... Soczawę pono zajął...

— Choćby tam był — ciągnął dalej wojewoda — ja z moją drużyną, wziąwszy Bogdana, pójdę i Soczawę zdobędę, Iwonię ukarzę, a berło hospodarskie tobie, panno chorążanko, przyniosę...

— Ładne berło!... — mruczał pan Sieniawski — jutro przyśle je Selim memu pacholikowi i... hospodarem będzie!...

Nikt na owe słowa nie zważał, jeno wszyscy teraz słuchali pana Mieleckiego, który z ferworem wielkim i animuszem rycerskim mówił, jako zaślubiny odłożyć trzeba do czasu, gdy hospodarska stolica będzie zdobyta, a Iwonia wypędzony i ukarany...

Wszyscy się na to zgadzali, jeno Jadwiga powtarzała ciągle:

— Nie!... Los padł... przyrzekłam! dopełnię!... Niech się potem stanie, jako sądzono...

Słysząc zaś to pani Regina, ręce łamała w rozpaczy, a nawet gniewać się zaczynała, krzyczeć i przeklinać na czem świat stoi obmierzłych Wołochów, że aż się omdlały Bogdan ocucił...

Poruszył się, dźwignął i na chwiejnych nogach stanął.

Twarz mu pałała gorączką, oczy rzucały dzikie błyski. Językiem grubym tłuste a zaschłe usta zwilżał, postąpił parę kroków, zachwiał się, zatoczył i o stół oparł się całą siłą...

— Pić! — rzekł znów.

Podano mu puhar; on pił chciwie do kropli, a gdy go usadowić chciano, odepchnął wszystkich i niespokojnym wzrokiem Jadwigi szukał.

Ona też ku niemu podbiegła.

A Bogdan, przenikając ją nieprzytomnym wzrokiem, który siał iskry, poił się jej pięknością, za ręce ją chwytał i bełkotał:

— Chcą mi ciebie odebrać, piękna!... Nadarmo!... Iwonia podły człek... padnie! Pod miecz katowski szyję da, jak Tomża... A ja cię w koronę hospodarską ubiorę i będziesz moją... będziesz panią!...

Porywał ją, przyciągał ku sobie...

Ona zaś blada, przerażona, opierała się, cofała...

Inni też skoczyli ku Bogdanowi, aby go pomiarkować.

Lecz on, czy to, że wino chciwie wypite zawróciło mu głowę, czy też, że go z owych ran gorączka coraz silniej piekła, nie porywał się już, lecz szamotał, nie mówił, jeno krzyczał:

— Moją musisz być... ty piękna!... bo ja nikogo nie lękam się! U was tak gołębie dusza, jak u nas niewiasty... u was za wyrokiem ścinają, u nas życie nie znaczy nic... Pościnam łbów ludzkich trzysta albo tysiąc, a jeszcze będzie ludzi za dużo... Rodzic mój, Aleksander, nie bał się krwi i ja się nie boję! Tylem wina w życiu nie wypił, ile on jej przelał...

Albo to ludzka krew inna, niż wściekłego psa? Taka sama, czerwona... ot!...

Gwałtownym ruchem zerwał z czoła chustę, okrywającą ranę. Syknął z bólu, gdyż rana, idąca od ucha, które się ledwie trzymało, aż do szyi, rozogniona była, sina i otwarta. Strumień krwi z niej trysnął na suknię, ręce i twarz Jadwigi...

Ona krzyknęła przerażona, cofnęła się i wyrwała z objęć Bogdana, który z bólu i upływu krwi opadł na ławę bezsilny.

— Krew... krew... — powtarzała Jadwiga, ze wstrętem strzepując rękami i wyprężając ramiona, jakby krwawe widmo od siebie odepchnąć chciała.

— Nie! nie! nie! — wołała bezprzytomnie.

Nocy tej do późna nikt nie spał w zamku czapelskim.

Bogdan był w malignie, a wszyscy w przestrachu czuwali długo, rozprawiając bezładnie, co począć w tak tragicznym wypadku.

Jadwiga zamknęła się w swojej komnacie, matkę nawet błagając, by ją ostawiła samą, w spokoju. Chciała być z myślami swemi, które napełniły jej duszę.

Krew Bogdana, która padła na nią, jego słowa urywane a dzikie, przeniknęły ją taką trwogą, jakiej nie doznawała nigdy. Na samo to wspomnienie wszystko w niej się wzdrygało... Ze wstrętem patrzyła na swoje ręce, po których przed chwilą ściekały krople duże, czerwone a ciepłe... I brzmiały jej w uszach Bogdanowe słowa;

„Co u nas krew znaczy?... U nas niewiasty tak bezlitośnie duszą, jak u was gołębie!“...

Przenikał ją dreszcz, sen zbiegał z powiek. Pró-

bowała modlić się, lecz słowa modlitwy szeptały jeno usta—dusza ich nie czuła...

Nie rozbierając się, zbliżyła się do okna.

Noc była taka sama gwiaździsta, jak wówczas, gdy wsród cieniów zdawało się jej, iż dostrzega błądzącą postać poety... Jeno wówczas było lato... Szum drzew liściem okrytych, a poruszanych lekkim podmuchem wiatru, który niósł z sobą woń z pól i łąk bujnych, upajał, pieścił duszę, kołysał myśli, uspokajał troski... A teraz—łoskot bezlistnych gałęzi zdawał się ich skargą, że je mróz ściska, że w nich życie zamiera pod naciskiem śnieżnej nawały, że nie wszystkie przebędą zimę i doczekają wiosny...

Ileż to takich istnień w przyrodzie zgnębi nawałnica śniegowa, a soki z nich żywotne wyssie mróz!...

Pustka i zimno — wszak to śmierć!... Tylko niebo wyiskrzone gwiazdami, które brylantowe siejąc blaski, mrugały zalotnie, zdawało się drgać życiem—życiem dalekiem, nieuchwytnem i niepojętem, które z uśpionej i zmrożonej ziemi uciekło...

Oko Jadwigi posępne, zadumy pełne, błądziło wśród tej pustki zimowej... Ścieżki, zasypane śniegiem, bieleją w cieniach—kręte, poprzerywane, niby lekka, przejrzysta, a zdarta i pomięta zasłona ślubna panny młodej...

Nad ścieżkami temi konary drzew zniżyły się, obciążone zimnym szronem, zgnębione, martwe.

Cisza...

Nagle odgłos kroków...

Po zmrożonym śniegu ktoś szedł powolnie, skrzypiąc. Przesunęła się postać smukła, wątła jak cień... I zatrzymała się pod oknami Jadwigi, jak wówczas — w lecie.

I Jadwiga, jak wówczas, poznała odrazu:

— To Szarzyński!

A ona o nim zapomniała zupełnie... Nawet słowem jednem nie podziękowała mu za jego poświęcenie. Widziała go wprawdzie, gdy wprowadzał Bogdana; widziała później, gdy blady, mizerniejszy niż kiedykolwiek, stał opodal w milczeniu, patrząc smutnemi oczyma na wszystko, co się działo...

Chciała wówczas zbliżyć się ku niemu, podać mu rękę, podziękować choćby bez słów, jednym uściskiem dłoni — ale czyż mogła?... czy miała przytomności dosyć w tak okropnym momencie?...

On zaś—ten biedny poeta—chodził teraz samotny, w noc mroźną, wśród pustki, może zrozpaczony, zbolały, z potępieniem dla niej w sercu, a napewno nieszczęśliwy, iż mu się ani jedno życzliwe nie do stało słowo za to, co uczynił...

Nie namyślając się dłużej, Jadwiga narzuciła na

siebie ciepły, futrem bramowany płaszcz szeroki i wybiegła szybko z komnaty...

Sęp oddawna błąkał się po dziedzińcu i ogrodach zamkowych.

Gdy Bogdana uprowadzono do sypialni i uspokojono, opatrzywszy rany—Szarzyński wyszedł, aby ochłonąć po doznanych wrażeniach.

Słusznie domyślała się Jadwiga; czuł się mocno nieszczęśliwym. Poświęcił się, a bez celu, bo teraz zyskał przeświadczenie, iż niedola czekała Jadwigę w związku z człowiekiem niepewnego bytu, a może i charakteru. Pozornie okrzesany Wołoch, pozostawał w gruncie zawsze dzikim; teraz zjednywał sobie wszystkich, a potem, cel osiągnąwszy, mógł się okazać takim samym, jak ojciec, hospodar Aleksander, który dopuszczał się najstraszniejszych okrucieństw. Więc po co go bronił? Po co namówił Paniewskiego, by z nim razem niósł pomoc Bogdanowi, gdy ten, ujęty przez mściwego Zborowskiego Krzysztofa, mógł w ciemnicy więziennej dokonać nędznego żywota?... Lepiej przecież, aby on był zmarniał, niżby Jadwiga nieszczęśliwą być miała!...

Ach, ta Jadwiga!... Miłował ją nad wyraz, a czasem nienawidził... Nie powitała go ani jednem słowem, nie spojrzała nawet na niego, gdy przybył, cała zajęta Bogdanem...

A on ją tak kochał... tak bardzo kochał!...

Dla jej szczęścia gotów był poświęcić wszystko, samego siebie na ofiarę dać, byle jej dobrą dolę zapewnić. Gdyby mógł wiedzieć, że ona szczęśliwa, toby się jak pies wierny u bramy jej domu położył i strzegł i pilnował, iżby to płochliwe szczęście nie ubiegło... Umykające schwytałby i przyprowadził napowrót do jej stóp... do stóp tej ukochanej...

Podniósł głowę w górę, ku oknom.

Ona tam jest — tak niedaleko! — i czuwa, bo światło migoce...

Przeniknęło go zimno... Lekko był odziany, a wicher mroźny smaga, do szpiku kości przenika... Ale to nic!... Co mu tam życie? na coć się przyda?...

Spojrzał dokoła siebie. Cisza i pustka, ale wśród tej ciszy odgłosy różne: mowa nocy, niepojęta dla wielu, dla niego zrozumiała i urocza... Przyleci czasem od wzgórz podmuch wichru, usiada na drzewach, zakołysze gałęźmi, a one, odbijając się jedna o drugą, zrzucają szron, który z cichym chrzęstem spada na ziemię... Ptak zbudzony załopoce skrzydłami, w oddali pies zaszczeka strzegący wrót pana... a oto pierwszy kur pieje... I znów podmuch wichru, lżejszy, jęczący... Cudowna muzyka nocy... Ile tu dźwięków, a ile barwy!

Ciemno. Wszakże z cieniami oswaja się oko i widzi, jak od głębokiego tła nieba odstają miliardy gwiazd, niby ćwieków brylantowych wbitych w prze-

strzeń bez granic;—dostrzega, jak te blaski przenikają cienie i jak wśród nich, w oddali, rysują się wzgórza, okryte śniegiem, który się iskrzy, a gdzieniegdzie starł się, zszarzał i piętna ma czarne... Na tych wzgórzach drzewa wyglądają jak olbrzymy, sięgające sztywnemi ramionami ku gwiaździstemu niebu, jakby ztamtąd wzywały pomocy... Wśród zarośli dopalają się jeszcze beczki smolne... Rozpadły się, spopielały, już wygasły... Od czasu do czasu wszakże dobywają się jeszcze iskry... Podmuch wichru zabłąka się tam czasem i jakby ogrzać się chciał, roznieci je... Rozpryskują się i — nikną...

Mróz coraz tęższy. Od rzeki, od Strwiąża dochodzi głuchy łoskot lodu, który u brzegów pęka... Znak, że jutro mróz będzie jeszcze silniejszy...

Och, jak zimno! Krew w żyłach stygnie, a pomimo tego twarz i dłonie pali gorączka. Śliczny jest ten świat nawet w tej ponurej szacie zimy — ale go rzucić trzeba, gdy przyjdzie czas...

— Dla mnie on już niedaleki... — wyszeptał Szarzyński.

W piersi czuje ból i brak tchu, a w sobie zniechęcenie ogromne:

— Po co życie? — spytał zcicha.

Spojrzał znów w okna Jadwigi. Mignęło tam światło i przesunął się cień postaci niewieściej.

— Niedościgniona rozkosz, wymarzone szczę-

ście, a wszystko bolesna złuda! — przemówił półgłosem.

Podniósł wzrok ku gwiaździstemu niebu i mówił do Boga, w natchnieniu:

„Twą łaską wolny, pomocą Twą nogi
„Moje nie zstąpią z Twojej świętej drogi,
„Dokąd duchowi mojemu mieszkanie
„W tem wątłem ciele będzie, o mój Panie!“...

Drgnął nagle—i cofnął się. Miękka, ciepła dłoń oparła się na jego ramieniu; głos stłumiony a pieszczotliwy mówił niemal szeptem:

— Przyszłam was przeprosić... Nie podziękowałam, a bardzo wam wdzięczna... całem sercem wdzięczna. Co się stanie ze mną, nie wiem; ale to chcę, tego pragnę, byście wiedzieli, żem wdzięczna...

Tchu nie stało w piersiach Szarzyńskiemu. Tę, o której marzył, do której tęsknił, którą miłował nad życie, Jadwigę widział obok siebie, rozczuloną, pieszczotliwą, garnącą się ku niemu wśród ciszy nocnej, pod niebem gwiaździstem, w pustkowiu sennej przyrody...

— Czy to może być?... — szeptał — żali to być może?...

A ona tuliła się ku niemu. Skrzepłe jego dłonie ujęła w swoje i ogrzewała je, cisnąc ku sobie.

* * *

Ruszyli się z miejsca i szli wśród drzew, wązką ścieżką, po zmarzniętym śniegu, w dal, kędy od czasu do czasu na białym całunie rozesłanym na ziemi i na szronie, uginającym gałęzie, przebłyskiwały brylantowe gwiazd promienie, że cała przestrzeń przed nimi zdawała się im nieskończoną srebrzystą otchłanią, w którą szli, marząc...

— Oto moje szczęście... chwila!—rzekł wreszcie poeta. — O takiej chwili marzyłem i mam ją... przed śmiercią...

Ona żachnęła się na to i przeczyć chciała. Lecz on odparł:

— Wiem to... umrę rychło, bo w piersiach brak tchu, a w sercu nadziei... Zapatrzyłem się w gwiazdę i pójdę ku niej, tam... w przestrzeń, bo ona ku mnie nie znijdzie...

— A ja?... — przerwała Jadwiga — co będzie ze mną?...

— Ty?... — spytał poeta.

I mowił dalej rymami:

„Ozdobo ziemie! Szczęśliwy, szczęśliwy,
„Komu cię Pan Bóg naznaczył życzliwy,
„Komu cię Hymen słowy statecznemi,
„I pochodniami przyłączy wiecznemi!“

Ona zaś, jakby oprzytomniała nagle, wysuwając rękę swą z dłoni poety, stanęła i rzucając na niego roziskrzone spojrzenie swych przepaścistych oczu:

— Hymen! — powtórzyła z goryczą — widziałeś przecie... Na ręku moich czuję ciągle krew, a w duszy obrzydzenie mam... Co mnie czeka?...

— Bóg jeden wie... — odparł poeta z uniesieniem. — Ty wszakże nie idź tam, kędy pociąga cię jeno urok sławy i zaszczytów... „Złoto, sceptr, sława i piękne oblicze muszą się mienić i muszą się psować.“ Słuchaj serca i sumienia; one wskażą drogę.

— Serce i sumienie... — powtórzyła jak echo Jadwiga, patrząc przed siebie w zamyśleniu.

A Szarzyński rzekł jeszcze, ujmując dłoń jej w swe ręce:

„Jeśli jest cnota chwały godna wszędzie,
„Tedy ma lutnia ciebie sławić będzie,
„I wiersz mój śpiewać, bowiem tobie k'woli
„Serce mię boli.“

Szli jeszcze czas jakiś w milczeniu — a potem żegnali się smutni, lecz uspokojeni i wzmocnieni na duchu.

Szczęście-chwila minęła!

* * *

Oni przeżyli tę chwilę na jawie, a pan Sieniawski we śnie.

Po rozmowie z panią Reginą, w której ona oświadczyła mu stanowczo, iż jako ostatnia z Mal-

czyckich na związek Jadwigi z tak niepewnym i niebezpiecznym hospodarem, jak Bogdan, nie zezwolił, ułożył się pan kasztelan na spoczynek w wybornym humorze.

Śniło mu się, iż jest świadkiem własnego wesela. Widział siebie, osiwiałego, podeszłego w leciech, wdowca po trzech żonach, stojącego na ślubnym kobiercu obok wspaniałej urodą i ponętnej młodością Jadwigi.

Stali przed ołtarzem i przysięgali sobie miłość dozgonną.

— Tak mi Panie Boże dopomóż!... — bełkotał przez sen pan kasztelan. — Hospodar, nie hospodar... Wybrał się bez wiosła na wodę i przepadł... Wierszopis Sęp umarł, bowiem zdechlak był... A ja, z kasztelanem wojewoda ruski, Jadwigę cudną za żonę mam... Czwartą żonę... brrr! wytrzymam, dalibóg!...

Zachłysnął się—obrócił się na drugi bok i spał dalej...

Sen ziścił się niebawem...

Bo takiem było i takiem jest życie...

ONIEC